Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 9. Października 1881 r. Tom XII.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 41.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—10 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

ZEFIREK

OBRAZEK Z ŻYCIA KOBIET

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ

Był to jeden z dziedzińców tych, które tylko w prowincjonalnych miastach spotkać można. Rozległy i niebrukowany, od strony ulicy miał dom drewniany lecz duży i dość ozdobny, a w głębi budowę długą, nizką, zrujnowaną, środkowa część której całkiem prawie rozrzucona, służyła za drwalnię i śmietnisko, a oba końce, w kąty dziedzińca wsunięte, zawierały po jednem mieszkanku, o dwu małych okienkach i wązkich drzwiczkach, rozdzielonych z ziemią parą spruchniałych wschodek. Jeden bok dziedzińca otoczony był parkanem, za którym ciągnęły się warzywne i owocowe ogrody. Przy drugim, nowy właściciel zaniedbywanej długo posiadłości tej, wznosił kamienicę, której mury świeże, czerwonawe i dachu jeszcze pozbawione, świeciły kilku rzędami kwadratowych dziur, na okna pozostawionych.

W jednym z kątów dziedzińca, za drobnemi szybami okienka, migotały, na wystawę niby wywieszone, różnokolorowe robótki kobiece, jako to: serwety, podstawki, buciki dziecinne i t. p. Kto tu wystawę tę mógł widzieć i przez nią do kupowania zachęcony zostać? Trudno było odgadnąć, zarówno, jak domyśleć się: na co lub na kogo śród pustego dziedzińca tego spoglądać mogła, także jak na wystawie, u okna drugiego mieszkanka, kobieta.

Była to pani Emma Żyrewiczowa, niegdyś, na cały gmach pocztowy z dobroci i wdzięków swych słynna, córka pomocnika pocztmistrza, potem, żona Ignacego Żyrewicza, urzędnika zajmującego posadę znaczną i dochodną, teraz od lat kilku już wdowa, utrzymująca się z małego kapitaliku, wraz z córką, która z pomiędzy trojga dzieci jej, sama jedna pozostała przy życiu.

Ci, którzy ją od najwcześniejszej młodości jej znali, utrzymywali, że dobiega ona końca krzyżyka piątego. Patrząc jednak na nią, trudno było temu uwierzyć. Wyglądała co najmniej o dziesięć lat młodziej. Była kiedyś bardzo ładną, jakkolwiek zawsze trochę za chudą i bladą; dotychczas też, zachowała cienkość i gibkość kibici, delikatność cery, turkusowy błękit oczu i gołębią słodycz wejrzenia. Po przyjrzeniu się dopiero, spostrzedz można było na białem czole jej gęstą siatkę drobnych zmarszczek, dokoła przywiędłych powiek czerwony brzeżek i parę fałd, zarysowujących się u dołu policzków. Pod leciuchnym czepeczkiem, ufryzowane *nioby* jej, siwiały też zlekka. Ubraną była w czarną suknią poplamioną i tu i ówdzie pocerowaną lecz powłóczystą i przyzdobioną kokardami o długich końcach.

Pokój, w którym siedziała, bardzo podobny był do jej sukni.

Dość obszerny ale nizki, z brudnemi ścianami i brudniejszym jeszcze kominem w rogu, stanowił on, wraz z malutkiemi, ciemnemi sionkami całe mieszkanie. Brudne ściany podpierały belkowany sufit, od którego w malowniczo ułożonych drapepjach opuszczały się szmaty kosztownych niegdyś firanek, dość dziwacznie przyozdobione gałęźmi mizernego bluszczu. Stoły, stołki i szafy nieliczne tam były, tanie i stare, lecz pomiędzy niemi królował fortepian, ze spełzłą wprawdzie politurą, niemniej będący tu widmem niby dostatniego i przez sztukę uprzyjemnionego życia. Naprzeciw strasznego komina, na wpół przysłoniętego brudną firanką z zielonego perkalu, stała pod samem oknem miękka kanapka, podartym dywanikiem orzucona i na niej to właśnie siedziała właścicielka mieszkania tego, z wyrazem znudzenia i smutku, wodząc okiem po obszernym i pustym dziedzińcu.

Białe, delikatne jej ręce, trzymając kawałek zahaftowanego batystu, spoczywały bezwładnie na jednej z zacerowanych dziur, malowniczo skrojonej i przyozdobionej sukni. Smutne snać myśli przechodziły po głowie wdowy, bo czoło jej sfałdowało się kilka razy w grube zmarszczki — wzdychała. Ożywiła się jednak i rozweseliła nieco ujrzawszy postać ludzką, wchodzącą w bramę dziedzińca. Była to tylko żebraczka, stara, ze zgrzybiałą twarzą i w łachmany przyodziana, lecz, kijem swym stukając o bruk dziedzińca, zmierzała wprost ku jej okienku, przyzwyczajona znać do kierowania się w tę stronę.

— Niech będzie pochwalony — ozwał się za szybami głos trzęsący się i ochrypły.

— Na wieki! — uprzejmem skinieniem głowy odpowiedziała Żyrewiczowa i trochę już uśmiechnięta, sięgnęła pośpiesznie do szufladki stolika, zkąd wyjęła miedziany pieniążek, który, otworzywszy okno, żebraczce podała.

— Za duszę Ignacego, — rzekła przytem, zmów kochanko Anioł pański za duszę Ignacego!

— Niech Bóg zapłaci! niech Bóg zapłaci! Wiem już, wiem, za jaką to duszyczkę, Pani dobrodziczka modlić się zawsze każe! Anioł Pański zwiastował...

Stała tuż za oknem, na kiju swym wsparta i pół-głosem pacierz swój wymruczała. Pani Emma zdawała się go też z cicha powtarzać, bo poruszała ustami i patrzała w niebo.

— Pani Dobrodziczka, zawsze samiuteńka jedna siedzi — zaczęła żebraczka.

— A sama, kochanko... cóż robić? sama...

— Córunieczkę spotkałam... tam, na Błotnym zaułku... bieliznę w koszu do magla poniosła. Oj, oj! kosz taki ciężki, aż się panieneczka gięła niby trzcina... Napracuje się to niebożątko, napracuje...

Tym razem, żywy rumieniec oblał twarz wdowy.

— Ona to lubi — odrzekła prędko; — to już taki charakter... wszak potrzeby nie ma żadnej... żadnej...

— Oj, oj, co tam za potrzeba! — schlebiającym tonem potwierdziła żebraczka; — wiadomo! panom zachciewa się czasem różności... Niech będzie pochwalony...

Zabierała się do odejścia, ale Żyrewiczowa niespokojnie poruszyła się na swem siedzeniu. Widocznie, wstyd jej było zatrzymywać żebraczkę, a nie chciała tego choćby towarzystwa utracić.

— Słuchajcie no, kochanku — zaczęła — a co tam dziś na mieście? ruch wielki? co?

— Oj, oj! czemu nie mają ruszać się? dzionek pogodny, letni! Na ogrodowej ulicy przecisnąć się nie można, tyle panów spaceruje a panie, to wszystkie poubierane w takie suknie, że aż w oczach ćmi się patrzając...

Wdowa westchnęła. Brzegi powiek jej zaczerwieniły się mocniej jeszcze, bo źrenice zabiegły łzą.

— A w ogrodzie, muzyka gra? — zapytała ciszej.

— Aj, aj! aż się po całem mieście rozlega! Ale czemu to Pani dobrodziczka nie wyjdzie sobie do miasteczka na boże słoneczko i na różne różności popatrzyć? Oj, oj, aż litość bierze patrząc, że taka pani marnuje się tak w smętności i na odludziu!...

Za nic, za nic w świecie nie wyznałaby przed tą nawet skromną powiernicą swą, że na miasto wyjść nie może, dla braku odpowiedniego kapelusza i okrycia. Siląc się więc na uśmiech, lecz z oczami pełnemi łez odpowiedziała:

— Gdzie mi tam, kochanko, myśleć o takich rzeczach, wdowie, przez przyjaciela swego i świat cały opuszczonej...

Z głośnem wzdychaniem i żałośnem kiwaniem głową, żebraczka zaczęła.

— Oj biedaczka moja, biedaczka! Nieboszczyk bo, niechaj światłość wiekuista duszyczce jego przyświeca, dobry był pan, dobry...

— O, jaki dobry! jaki dobry! najlepszy w świecie! — wykrzyknęła wdowa i zalała się już rzęsistemi łzami. Przyłożyła chustkę do twarzy, łkała. Żebraczka zaś, oparta wciąż na kiju swym, ze współczuciem mruczała. — Biedulka! biedulka! Ot żałuje towarzysza swego! ot płacze po nim! ot serce złote!

Nagle, w chwili właśnie gdy wdowa chustkę od twarzy odejmowała, pomiędzy bramą a wejściem do przeciwległego domu, przesunęła się szybko męzka jakaś postać.

— A! — wykrzyknęła p. Emma i zerwała się z siedzenia. Łez nie było już w oczach jej ani śladu, zbolałość ustąpiła przed uradowaniem, zmięszanem z żywem zaniepokojeniem. Z Bogiem! z Bogiem, kochanko! — rzekła do żebraczki i pośpiesznie okno zamknęła. Ale żebraczka, z wielokrotnego zapewne doświadczenia, wiedziała, że za gawędę, słuchanie zwierzeń i okazywanie współczucia należy jej się słuszna nagroda. W sposób ten zapracowała na grosz, którego bynajmniej tracić nie chciała.

— Paniuniu! dobrodziczko! obdarzcie jeszcze czemkolwiek biedną tak samo wdowę!

To »tak samo« przykre na p. Emmie wywarło wrażenie. Wzdrygnęła się lekko i dumnie podniosła głowę, na żadne jednak szorstkie lub gniewne słowo zdobyć się nie mogła. Przez lufcik już tylko szybko otwarty i zamknięty, rzuciła na prędce znaleziony srebrny już pieniążek i mówiąc: »idźcież już sobie, idźcie z Bogiem«, odbiegła od okna.

Stanęła na środku pokoju i szybkiem spojrzeniem orzuciła go dokoła. Poskoczyła ku fortepianowi, otworzyła i na pulpicie rozłożyła parę podartych zeszytów nut; mantylką jakąś, naprędce z szafy wychwyconą starła pył ze stojącego pod kanapką stolika. Uczyniwszy to wszystko, rzuciła się ku krzywo, bo na dwóch tylko nogach stojącej komodzie, a odsunąwszy jedną z jej szuflad, na jakiejś wyszczerbionej pozostałości porcelanowego talerza, zgrabnie ułożyła kilka ciastek i trochę cukierków, wydobytych z papierowego worka. Następnie, rzuciła okiem po całem swem ubraniu, a spostrzegłszy na przodzie sukni zacerowaną dziurę, zakryła ją końcem zwisającej od pasa wstążki, który przymocowała szpilką. Nakoniec, usiadła znowu na kanapie i zdyszana nieco, utkwiła wzrok we drzwiach wchodowych domu, od ulicy stojącego. Blady lecz świeży rumieniec wybił się na jej policzki, oczy przybłysły wyrazem przyjemnego oczekiwania — odmłodniała jeszcze o lat 10.

Po kwadransie, oszklone i bronzową klamką świecące drzwi otworzyły się, a młody, wysoki, zgrabny mężczyzna, który z nich wyszedł, przebył szybko dziedziniec, paltot, od niechcenia na ramionach zarzucony umieścił w małych sionkach, na starej, dnem do góry przewróconej beczce i — ukazał się w progu mieszkania wdowy. Był to dwudziestokilkoletni przystojny chłopak, z niskiem czołem ale w migdał wykrojonemi, pięknemi oczami, które, jakkolwiek dość bezmyślne, błyszczały pewnym rodzajem ożywienia i sprytu, z płowym ładnym wąsikiem i eleganckim kapeluszem a zarazem liljową, zmiętą rękawiczką w ręku.

— Bonjour, ma tante! — zawołał wchodząc.

- Bonjour! bonjour! — pieszczotliwym prawie głosem odpowiedziała gospodyni mieszkania i wyciągnęła do gościa piękną rękę swą, którą on, wymownie w twarz jej patrząc, z uszanowaniem ucałował. Ukazując mu miejsce obok siebie, z błyszczącym wzrokiem i żywemi gestami, mówić zaczęła.

— Widziałam pana wchodzącego do odwokata Rolickiego i ciekawą byłam bardzo, czy też pan Stanisław i o mnie przypomni sobie... Siedzę tu, jak pan widzi, sama jedna... trochę smutna i myślę sobie: zajdzie nie zajdzie?

Przy ostatnich słowach uśmiech miała figlarny a spojrzenie smętne.

Gość usiadł przy niej i z łokciem zaokrąglonym na poręczy kanapki, z lekka się ku niej pochylał.

— Mais comment donc! — zaczął; kiedyż to ja będąc w mieście, kochanej stryjeneczki nie odwiedziłem? Ale proszę mi powiedzieć... za co stryjenka tak mię krzywdzi?

— Ja! — wykrzyknęła z przerażeniem—ja pana Stanisława krzywdzę? Au nom du ciel...

— A jakże! pan... pan... pan Stanisław, to, jak Boga kocham, aż żal bierze! Czy to ja nie jestem synowcem nieboszczyka mego stryja...

— Pokrewieństwo nie blizkie — wyjąkała — ojciec pana był stryjecznym bratem...

— Ale cóż znowu! — zawołał z żywością — cóż znowu! stryjeczny czy wujeczny, ja chcę żeby stryjanka nazywała mię jak dawniej, po imieniu i koniec! No, proszę mi powiedzieć: Stasiu! bardzo proszę!

— Stasiu! — szepnęła ze spuszczonemi oczami.

Pod ładnym wąsikiem jego drgnął szybki uśmiech, wnet jednak wyrzekł:

— Stryjenka sama mówi zawsze, że najważniejszem pokrewieństwem jest braterstwo dusz. O, ja pamiętam!

Podnosząc do oczu robótkę, od niechcenia niby odpowiedziała:

— C'est vrai! szczęśliwi ci, którzy je w życiu znaleźli...

I ciszej dodała:

— Życie mija... mija... mija...

— No, przecież nie minęło jeszcze!— perswadował Staś.

— O! — wymówiła — słońce już zachodzi...

Chciała powiedzieć coś więcej jeszcze, lecz nagle spojrzała w stronę komina i spostrzegła, że do osłaniania paszczy jego służąca firanka, całkiem spuszczoną nie była. Nie była ona spuszczoną do tego stopnia, że z za niej ukazywał się jak na dłoni gliniany, otłuszczony garnek, do połowy napełniony zastygłym z obiadu na wieczerzę pozostawionym rosołem. Skamieniała i wątek rozmowy utraciła. Ale Stanisław prowadził ją dalej w raz przyjętym tonie. — Ale gdzież tam — mówił— jakie tam zachodzenie! Stryjeneczka Bóg wie co zawsze o samej sobie wygaduje! Ileż np. stryjenka lat mieć może?

Z prostotą odpowiedziała.

— Rachunek prosty. W szesnastym roku życia mego wyszłam za mąż a Brynia, moje najstarsze dziecko, ma już 22 lata!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WSPOMNIENIA I PISMA

Z CZASÓW MOJEGO WYGNANIA

przez

LUDWIKA KOSSUTHA.

(Według tłumaczenia «Wieku»).

Rozwiązanie armji węgierskiej we Włoszech.

(Dokończenie).

Wspomniałem, że niektórzy z członków legionu węgierskiego wstąpili do wojska modeńskiego. Mógłby kto mniemać, że przyjęli oni służbę u owego sławnie głupiego księcia Modeny, co to chciał zaludnić Kroatami pogranicza Francji. Uważam więc za właściwe objaśnić, czem była w epoce ukończenia wojny Modena.

Kiedy wybuchła wojna między Austrją a Sardynią (29. kwietnia), mieszkańcy prowincyj Massa i Carrara zniszczywszy insygnia monarsze księcia Modeny, ogłosili dyktatorem króla sardyńskiego. Wówczas rząd sardyński wypowiedział wojnę księciu Modeny na tej zasadzie, że pomimo protestacji Sardynii, książę trzyma się uporczywie konwencyi zawartej z Austrją, a będącej w sprzeczności z traktatami europejskiemi, oraz dla tego, że książę dozwolił Austrji czynić przygotowania wojenne przeciw Sardynii na terytorjum Modeny. (Nota Cavoura, posła w Modenie z d. 7. maja 1859 r.) Wówczas książę Modeny zawezwał na pomoc Austrję. Ale hr. Rechberg (następca hr. Buol - Schaunstein odpowiedział, że cesarz ku wielkiemu swemu żalowi nie może przysłać ani jednego batalionu, bo ma przed sobą potężnego nieprzyjaciela.

Usłyszawszy to, hrabia Volo, agent Modeny w Wiedniu, wykrzyknął tragicznie:

— „Skoro tak, to książę będzie musiał opuścić swój kraj!“

Hr. Rechberg podzielił to zdanie, ale pocieszył hr. Volo, że Austrja nieomieszka osadzić z powrotem księcia na tronie jego przodków.

Taką samą konsolację otrzymała i księżna Parmy.

Książę Modeny (Franciszek V-ty) opuścił „swój kraj“ 11. czerwca, wywiódł ze sobą 3,000 żołnierzy, i nieomieszkał zrabować kas publicznych, w których znalazł 2,690,000 lirów. Zabrał też ze sobą w drogę wszystkie srebra i kosztowności koronne, skarby, numizmatyki z muzeów, nawet celniejsze wolumina i rękopismy z bibliotek publicznych. Dokonawszy tego, kazał zakuć w kajdany ośmdziesięciu więźniów politycznych i wywiózł ich do Mantui.

Księżna Parmy znowuż starała się zabezpieczyć przyszłość swego syna i zapewnić mu „koronę.“ W tym celu oświadczyła w dniu 12. maja 1859 r. że ma intencję być przyjaciołką wszystkich, a nie będzie żywiła nieprzyjaźni względem nikogo. Niezależnie od tego afektu poprosiła rząd angielski, aby dopomógł jej zachować tę neutralność. W owej epoce jeszcze torysowie rządzili w Anglii i dowiedli raz jeszcze, że trzymają z Austrją, pomimo rzekomej neutralności. Jakoż lord Malmesbury, gorzkie wymówki przesłał do Turynu za to, że rząd sardyński zajął część księztwa Parmy. Na to hr. Cavour poprosił lorda, iżby rzucił okiem na mapę teatru wojny, a przekona się, że właśnie na terytorjum Parmy Austrja przygotowała swój napad na Piemont, i że skutkiem tego Sardynia, zaskoczona przez Austrję, właściwie znalazła się w obec wojny z Modeną i Parmą, które tak chętnie poddały się militarnym przygotowaniom Austrji. Wreszcie księżna zbyt późno przypomniała sobie o neutralności, bo już uciekła ze „swego kraju,“ lękając się gniewu i oburzenia publicznego.

Parma i Modena były w rękach Wiktora Emanuela.

Preliminarja pokojowe w Villafranca opiewały, że Modena będzie zwrócona księciu Franciszkowi V.

Otóż rządził tam już wysłany przez Wiktora Emanuela dzielny patrjota p. Farini. Na wieść o preliminarjach, Farini odniósł się do Turynu, żądając instrukcyj, dodał jednak, że bodajby życiem miał przypłacić, nie ustąpi przed Franciszkiem V.

Tu niechaj czytelnik przypomni sobie słowa Cavoura, powiedziane przy mnie Pietremu:

— „Będę spiskował, zostanę pierwszym rewolucjonistą, ale ten pokój nie będzie wykonany.“

Dotrzymał słowa, i choć jeszcze był ministrem, już spiskować zaczął.

Preliminarja były podpisane, oficjalnie trzeba się było poddać. Więc minister Cavour polecił Fariniemu opuścić Modenę, współcześnie zaś Cavour rewolucjonista zaprosił do siebie republikanina Frappoli i miał z nim następującą rozmowę:

— Chcesz pan ocalić Włochy?

— Chcę.

— Jedź pan natychmiast do Modeny i działaj z Farinim. Jeżeli Farini usłuchał rozkazu i opuścił już Modenę, sam rozpocznij obronę, a jeżeli książę będzie chciał wkroczyć, zatopić tych wyrodnych Włochów, którzy mu towarzyszą, w głębiach Po. Bić ich czem się da, choćby kijem.

W kilka godzin później Malmusi, prezes Zgromadzenia Modeńskiego, był już u Cavoura.

— Panie hrabio, daj nam broń! — zawołał.

Cavour rzucił mu się na szyję.

— Nie jestem już ministrem wojny, odrzekł, ale to mniejsza.

I napisawszy kilka słów na kartce, położył na niej wcześniejszą datę i dodał:

— Jedź pan z tem do arsenału. Dadzą ci broń, to bierz.

Malmusi dostał broń i zabrał ją ze sobą.

Farini na rozkaz odwołujący go nadesłał zwięzłą orpowiedź:

„Komisarz królewski ustępuje. Obywatel chwyta za broń i zaczyna wraz z ludem walkę.“

Nazajutrz Farini był dyktatorem Modeny i zagrzał zniechęconych mieszkańców, ukazawszy się na balkonie i odczytawszy depeszę Cavoura:

„Minister umarł, przyjaciel cię uwielbia.“

— Naprzód dzieci Italii! — zawołał Farini. — Włochy nie podpisały traktatu Villafranca!

Farini, dyktator, zamianował Frapollego ministrem wojny. Tak utworzyła się armia Modeny, do której niebawem zaczęli wstępować węgierscy żołnierze.

* * *

A ja?

Spędziwszy kilka tygodni wśród pogodnej ciszy Alp szwajcarskich i sabaudzkich i nie znalazłszy ulgi w moich boleściach serdecznych, powróciłem z żoną i synami do Anglii, gdzie po katastrofie w Villafranca najprzeróżniejsze krążyły o mnie opowieści.

Mówiono tam, żem został uwięziony, wydany Austrji i t. d.

W dniu 25. lipca dostałem list od Pulszky'ego, który mi donosił, że angielscy moi przyjaciele ze wszystkich stron kraju, nadsyłali list za listem, dopytując się o mnie z niepokojem i sympatją. P. Gilpin nie miał chwili wytchnienia w parlamencie; zasypywano go zapytaniami, czy ma listy odemnie, czy jestem bezpieczny i t. d.

. . . .

Powróciwszy do Londynu, stałem się przedmiotem ogólnej ciekawości. Jak grad poczęły na mnie spadać zaproszenia na meetingi. W sferach politycznych liczono, że mogę uczynić ważne „zwierzenia“ w sprawie kampanii włoskiej i ztąd pojawiły się w obiegu sympatyczne adresy, mogące mię do tych zwierzeń pobudzić i zachęcić. Postanowiłem jednak zawrzeć się w milczeniu, na żaden meeting nie poszedłem i żadnej konferencji nie wygłosiłem.

Korzystając wszakże z tego gorączkowego zajęcia, uważałem za właściwe przedstawić przyjaciołom moim zarys moich wrażeń, pod jakiemi wróciłem z kontynentu

Do nich więc napisałem list następującej osnowy:

Londyn, 24. września 1859.

Fatalny dzień w Villafranca zniweczył gmach moich nadziei w chwili, gdy właśnie spodziewałem się najpomyślniejszego rezultatu mych usiłowań. Jestem znowu wygnańcem jak przed czterema miesiącami. Ale gorzkie zawody zrobiły swoje: jestem o dziesięć lat starszy.

— Gdyby nie piorun, który spadł na nas w postaci preliminarjów pokoju, Węgry zapisałyby jedną z najświetniejszych kart swych dziejów. Naród był zjednoczony, silny wolą i przygotowany do dzieła, jak nigdy przedtem. Wszystko, co ludzi dzieli, uczucia religijne, narodowościowe, kastowe, ustąpiły w obec gorącej chęci wypędzenia Austrjaków z naszych siedzib.

Swiadomość tego stanu rzeczy powiększa jeszcze moją gorycz. Nie znam większej boleści nad tę, gdy los nienawistny porazi dłoń wyciągniętą i gotową do zerwania owocu dojrzałej wolności.

Poddać się należy. Poddać się z boleścią, ale bez rozpaczy.

Sumienie moje spokojne powiada, że bądź co bądź spełniłem obowiązek obywatelski, usiłując wyzyskać położenie na korzyść sprawy Węgier.

Mam jedną wielką pociechę: nabrałem przekonania, że żadna intryga dyplomatyczna, żadne pokuszenia despoty nie pozbawią Węgrów niezłomnej woli odzyskania przy najpierwszej pomyślnej sposobności niepodległości ojczyzny.

. . . .

. . . .

Wraz z Węgrami żywię przekonanie, że żadna wielka kwestja europejska nie będzie pomyślnie rozwiązana, a Europa nie zazna trwałego pokoju, dopóki Węgrom nie będą wrócone prawa samoistnego bytu.

To przekonanie daje nam ufność i siłę na przyszłość.

Jest to więc pociecha, jak rzekłem, wielka pociecha. Ale mam jeszcze inną.

Pojmujecie, że nie mogę wyjawiać szczegółów tego, co zaszło między mną a rządami państw sprzymierzonych. Patrjotyzm nakazuje mi

ajemnicę. Mogę jednak powiedzieć, że będąc nieugiętym w obec gołosłownych przyrzeczeń, domagając się faktycznych i rzeczywistych gwarancyj, uchroniłem kraj od wielkiej klęski, od walki i przelewu krwi za obcą sprawę. Siły jego pozostały nietknięte.

Ta pociecha jest równie wielka jak poprzednia.

Współziomkom moim, na wygnaniu będącym, a zajmującym stanowisko, radziłem cierpliwość i oczekiwanie w gotowości, aby nie utracili przez zbytni pośpiech stanowiska. Dzięki tej ostrożności, interesa osób prywatnych nie ucierpiały.

Jeńcy węgierscy napływali do tworzących się pułków. Było ich już z górą cztery tysiące. Jeszcze trzy tygodnie, a mielibyśmy ich 25,000, w parę zaś miesięcy dziesięć razy tyle! Niestety!

Gdy przyszło do rozwiązania tego wojska, należało pomyśleć o losie tych dzielnych ludzi. Dano im możliwą zapomogę, udzielono amnestję. Postarałem się, aby mogli wrócić bezpieczni do domów, oraz aby uwolnieni zostali od służby wojskowej. Francja poparła mię w tej mierze i Austrja ustąpiła. Przyszłość więc wojskowych naszych zdaje się być bezpieczna, bo zapewniona jest traktatem. Chodzi tylko o to, czy Austrja dochowa traktatu.

Będę powiadomiony w tym przedmiocie.

Uważałem za właściwe dać wam tych kilka treściwych wyjaśnień, z uwagi na wielką życzliwość, jaką przyjaciele moi angielscy i szkoccy względem mnie ujawiają. Więcej powiedzieć nie mogę. Dodam tylko, że zostałem zawiedziony, ale nie uwiedziony. Uwieśćbym się nie dał.

Niech się dzieje wola Boża. Jestem i będę każdej chwili gotów do działania. Bóg postanowi. Śmiertelny niechaj tylko głosowi obowiązku będzie posłuszny, a spełni co do niego należy.

Kossuth.

* * *

List powyższy nie był napisany dla ogółu publiczności, tylko, jak rzekłem, odnosił się do moich przyjaciół. Ukazał się jednak w dziennikach i wywołał cały szereg pochlebnych komentarzy i życzliwych dla mnie objawów, które zwiększyły jeszcze, jeżeli to być może, uczucie wdzięczności, jakie żywię i żywić będę dozgonnie względem narodu angielskiego.

Listem tym zamykam pierwszą serję moich „Wspomnień.“

KONIEC.

LORD BYRON

jego charakter i umysł

napisał

FELIKS LEWICKI.

«Oh life thon weak-buit isthmus doth proudly rise»,
«Up betwixt two eternities!».....

Cowley.

Wiele już napisano o Byronie, a jednak, im więcej badamy tę niezwykłą postać, tem więcej nowego odkrywamy w człowieku, który zabłysł jako meteor i ślad niepospolity po sobie zostawił. Łatwo dzisiaj zimnym skalpelem, po tylu już latach, anatomizować, kiedy posiada się tyle danych, a przecież studja pokazują zawsze coś nowego w tej naturze, pełnej mięszaniny dobrego i dziwactwa. Byron zostawił swoje własne pamiętniki, wydane przez jego przyjaciela, poetę angielskiego, Moora; na tle tych wspomnień, panna Bibianna Moraczewska, napisała bardzo ciekawą rozprawę, drukowaną w 1878 r. w „Ruchu Literackim“ p. t. *O wpływie kobiet na utwory i losy Byrona.* Wpływ kobiet był bez zaprzeczenia wielki na życie poety, który sam jeden napełnia epokę, odegrawszy tak wielką rolę w powstającym romantyzmie. Mamy pod ręką Pamiętniki Lady Blessington, z których najwięcej czerpaliśmy do niniejszej rozprawy. Poważna hrabina, rodaczka Byrona, jego, można powiedzieć, jedyna przyjaciółka, gdy ten rozwiódł się z żoną i zamieszkiwał Włochy, pozostawia nam wielki materjał, zebrany prawie z dnia na dzień. Najważniejsze są jej rozmowy z poetą już podówczas używającym głośnej w Europie sławy; mniej może ważne są same wrażenia lady Blessington, ale i one cennym są przecież materjałem dla pragnącego bliżej poznać charakter Byrona. Charakter jego w najrozmaitszem świetle pokazuje się w codziennem z nim obcowaniu, czy to w domu, u siebie, czy to u drugich, podług tego, jak mówił, czuł i myślał.

W 1823 r. Byron zamieszkał Genuę, gdzie poznał hrabinę i częstym bywał jej gościem; ona go takim podaje nam, jak go w różnych fazach przez długi czas widziała. Uchwycony więc z boku, z profilu i na razie, z zaletami i wadami zwykłemi ciekawe ten portret przedstawia rysy, a portret jest lepszy, aniżeli znajdujemy go w własnych Byrona pamiętnikach, zwłaszcza gdy wiemy, jakie miał wyobrażenie o przyszłych swoich biografach. — Kto z nim często nie obcował, nie mógł poznać, kiedy był w dobrym lub złym humorze — pisze Lady Blessington — bo miał zwyczaj wszystkich zawsze mistyfikować. Kto jednakże dłużej z nim obcował i posiadał dar poznawania ludzi, czytania w fizjonomji, ten mógł spostrzedz, że wesołość u Byrona była okrytą jakąś prawie szyderską powagą. Usta jego oświecone bywały złośliwym promieniem uśmiechu. Gdy wiedział, że go drudzy odgadują, wpadał w zły humor, ale krótko to trwało, bo uśmiechał się zaraz i przyznawał, że bawi się, aby swoich omylić sędziów.

Sam zresztą mawiał:

— Pragnę, aby osoby, które znają mnie za życia, mówiły i pisały o mnie po śmierci w sposób tak sprzeczny, żeby słuchaczy i czytelników w wątpliwość wprowadzić co do mojej osoby.

Cieszył się tą myślą przedwcześnie. Będąc ciągle pod wpływem tego pojęcia, czy nie mógł w pamiętnikach swoich przetwarzać myśli i uczucia swoje?

— Jestem pewną — pisze lady Blessington — że na dziesięciu badaczy, którzy podjęliby się sądzić Byrona, dwóch by się nie znalazło, których sąd o nim byłby zgodny, coby nie przeszkadzało wcale, że zdania tych dziesięciu oparte byłyby na bardzo sprawiedliwych spostrzeżeniach. Trzeba zauważyć, że takie są zmienne zwyczaje Byrona, taki jest kameleona sposób przetwarzania się jego, że nadzwyczaj trudno jest uchwycić jego portret moralny, tembardziej, że myli szczególnie tych, którzy mają pretensję uchwycenia jego natury na uczynku. Wszyscy, którzy go znają, gdy o nim mówić będą, powiedzą prawdę bez zaprzeczenia, ale oryginał będzie powleczony barwą niejednakową. Byron zmienia się codziennie, przyjmuje codziennie inną rolę i czyni się niepodobnym do siebie, bo chce wszystkich bałamucić.

Pociski krytyki nie minęły go, bo walczył sam najstraszniejszą bronią, t. j. szyderstwem. Chmura, która ładowała się za jego życia, wybuchła po śmierci jego tem srożej, że poeta przez całe życie swoje wyzywał opinję publiczną, rzucając jej rękawicę sarkazmu.

Źle jednakże czyni ten, który za ostro sądzi Byrona, bo jeśli całe życie swoje karmił ambicję wygórowaną, dumę przesadzoną, ironję i nienawiść, to przyczyny tego szukać należy w samem zaraniu życia, gdy pierwsze odbierał wrażenia w domu i za domem.

Byron od lat najmłodszych nie był szczęśliwym. Ojciec jego był rozpustnym i rozrzutnym, gdy znowu matka, złośnica, wpadała o drobnostkę w gniew najgwałtowniejszy, traktowała obelgami młodego syna, czyniąc go winnym nawet, że się kulawym urodził. Młode dziecko musiało szukać wykrętów, uciekać się do kłamstwa, aby ujść przed gwałtownością matki. Nie mając u kolebki życia, w progu świata, pod rodzinnym nawet dachem, tego uroczego przytułku, który wytwarza i kształci duszę, musiał po za obrębem gniazda rodzicielskiego szukać ciepła dla serca. Nic więc dziwnego, że od młodości karmiony i przesycony był jadem goryczy, który całemi jego wychodził porami i którym oblekał uczucia namiętne swoje, miłość i nienawiść, wyrażając je to raz w formie czułych i gorących pieszczot, to znowu w ostrych i krwawych pociskach.

Byron nie wyrósł jak Walter-Scott pod wpływem dobrych promieni domowego szczęścia, pod anielską dobrocią matki, jak Juljusz Słowacki, pod poetyczną rozkoszą domowej swobody, jak Adam Mickiewicz. Posiadał genjusz, bogactwo, znaczne stanowisko w świecie, europejską potem sławę, a przecież nie był szczęśliwym. Gdyby był żył pośród ludzi serca, otoczony kołem dobrych, uczciwych i nieznoszących fałszu i obłudy, gdyby wreszcie nie napotkał maski na twarzy tych, którzy go otaczali, byłby zaiste inną sferą oddychając poszedł w innym kierunku, byłby może zakosztował więcej szczęścia, ale czy zebrałby te same wawrzyny? Owe szyderstwo, ironja i sarkazm, które stanowią główną cechę jego utworów, wytworzyły też i ich potęgę. Gdy był w uniwersytecie, uciekać musiał potajemnie z domu rodzicielskiego przed postępowaniem matki swej, gwałtownej, oddychającej jedynie miłością własną, zatopionej w egoizmie, kapryśnej, dumnej i głupiej.

Lady Blessington powiada, że rozczarowaną została, gdy zobaczyła po raz pierwszy Byrona; wystawiała go sobie bowiem podobnym do którego z bohaterów jego poematów. Uczucie to jest powszechne, gdy pragniemy poznać bliżej autora ulubionego, a spotykamy się potem ze zwyczajnym człowiekiem. Byron jednakże nie był brzydkim, miał twarz ładną, a najważniejsze to, że była ona pełną wyrazu. Czoło miał wysokie, otwarte i napiętnowane widoczną szlachetnością; oczy miał bure, jedno oko znacznie było większe od drugiego; nos wydatny i dobrze zarysowany, ładniejszy z profilu niż w pełni, bo był trochę zanadto gruby; usta jego były najwięcej z całej twarzy kształtne. Wyższa warga greckiego zakroju i krótka, miała cechę charakterystyczną, a obie dobrze i zgra-

bnie ścięte — na nich ciągle przebiegał uśmiech ironji, który na twarzy jego zamieszkał bez przerwy, tak, iż stał się mu właściwy. Broda jego była z wdziękiem zaokrąglona i wybornie rysowała owal twarzy. Był nadzwyczaj chudy, tak że na pierwszy rzut oka można było go wziąć za młodzieniaszka. Był blady, ale nie cery chorowitej, raczej miedzianej, będącej pięknością brunetów. Włosy jego były ciemno-brunatne, skutkiem używania olejków wydawały się ciemniejsze. W rysach jego odbijał się wyraz wysokiej inteligencji; wyraz jednakże twarzy jego zmieniał się tak szybko, pod wpływem rozmowy, jaka toczyła się z nim, że wszystkich zadziwiał i to stanowiło charakterystyczną cechę jego osoby. Im więcej obcowało się z nim, tem korzystniej się przedstawiał. Zdarzało się często, że nieznajomi żywą, z początku samego, pociągani bywali do niego sympatją.

Byron był zazwyczaj melancholiczny, tok rozmowy, myśl jakaś ukryta, utajona w nim, wywoływała niekiedy uśmiech na twarzy jego, ale byłto uśmiech chwilowy, przechodni, jak słaby promień słońca wydobywający się z po za chmury deszczowej. Zwykle potem wpadał w głębokie zadumanie.

W całej postawie jego było coś szlachetnego i wyszukanego, pomimo, że nadzwyczajny w nim ukazywał się brak smaku co do ubioru; nosił zawsze odzienie, jakby żywcem nabyte u tandeciarza. Postawa jego miała coś w sobie niezręcznego; należało to przypisać jego ułomności, chociaż ta była tak nieznaczną, że nie wszyscy mogli spostrzedz, która noga jego była krótszą. Miał głos harmonijny i przyjemny i tak wyraźny, że lubo cicho zwykle mówił, ani słowa nikt z jego mowy nie tracił. Taki jest portret Byrona pozostawiony nam przez lady Blessington.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ARABESKA

Dziś na poranku zwiędła róża blada
Od piersi moich, od ust odtrącona;
Pierwsza łza wspomnień tak czysta jak ona
Z promieniem nowej zorzy na nią spada.

Wiem — dzień pogodny wschodzi jutrznią złotą,
Wiem — wonnych kwiatów znajdę dosyć wszędzie,
Wiem — świeże róże znowu skroń oplotą,
Lecz tamtej... zwiędłej wśród nich już nie będzie!...

Czesław.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Mieliśmy w tym tygodniu wystawę ogrodniczą, urządzoną staraniem Towarzystwa Sadowniczo-Ogrodniczego w zabudowaniach Strzelnicy przy ulicy Kurkowej. Wystawa ta, zaledwie się urodziła, a już pierwszego dnia dostała maczugą, choćby dla tego samego, że ją urządzał Vice-prezes Towarzystwa, p. Pierożyński, a nie pan Ciesielski, lub inna sympatyczna recenzentowi osobistość. U nas, podobnie jak świat muzykalny, świat ogrodniczo-sadowniczy ma także swoich Gwelfów i Gibelinów, i jak jedni urządzają naprzykład we Lwowie wystawę, drudzy prawie w tym samym czasie występują w Kołomyi, nie w celu spółzawodniczenia, ale rozdzielenia wystawców, żeby jedna i druga nie mogły się pochwalić kompletem, reprezentującym rzeczywisty obraz gospodarstwa ogrodniczego w Galicji. Smutna to jest sprawa, gdyby nie była trochę śmieszną. Rywalizacja, podjęta w szlachetnym celu, wychodzi nieraz na korzyść publiczną, lecz antagonizm osób dla bezstronnego widza sprowadza tylko wzruszenie ramionami. Naprzykład istnieje u nas Towarzystwo Pszczelniczo-sadownicze i musi przecie coś produkować, a jednak okazów jego na wystawie nie widzieliśmy. Jeżeli Towarzystwa Ogrodnicze węgierskie mogły przysłać na wystawę do Lwowa okazy swoje, tembardziej miejscowe nie powinno się od tego obowiązku uchylać, zwłaszcza że je bardzo uprzejmie zapraszano. A szkoda wielka, bo byłby to jedyny, właściwy sposób popisu i rywalizacji, na pożytek naszego ogrodnictwa.

Z pewnem, przyznajemy się, uprzedzeniem przeciw wystawie, szliśmy na zwiedzenie jej do zabudowań Strzelnicy, jednak zostaliśmy przyjemnie zawiedzeni. Wystawa sprezentowała się bardzo dobrze, powiemy nawet lepiej od wszystkich innych wystaw ogrodniczych, jakieśmy dotąd w naszem mieście widzieli. Zapewne że brak miejsca na dogodne i wspólne ustawienie wszystkich okazów wiele się przyczynił do zmniejszenia uroku, jaki daje piękne ugrupowanie przedmiotów. Obecna wystawa pomieszczoną jest w czterech niskich i szczupłych lokalnościach, co naturalnie utrudnia zwiedzającemu porównanie wystawionych okazów. Jednak mimo to i mimo uszkodzeń spowodowanych wcześniejszemi tegorocznemi mrozami, powtarzamy, całość prezentowała się bardzo dobrze. Udział przyjęło sześćdziesięciu siedmiu wystawców i począwszy od kwiatów cieplarnianych widzieliśmy wszelkiego rodzaju ogrodowiny: owoce, winogrona, kawony, melony, suszone owoce, napoje z owoców, nasiona, wyroby z miodu, ule z pszczołami, ule puste, a nawet kolekcje drzewek owocowych, obciążonych przepysznemi okazami owoców.

Rośliny oranżeryjne na takich wystawach uważamy za mniej ważne dla pożytku kraju; stanowią bowiem rodzaj pańskiego luksusu i specjalnego amatorstwa. Za to większą uwagę zwracają na siebie ogrodowiny i owoce, które rzeczywiście były prześliczne, a szczególniej z ogrodów hr. Alfreda Potockiego, prowadzonych przez ogrodnika p. Gold, nie powstydziłaby się żadna w świecie wystawa. Dalej, przedstawiło piękne i dorodne okazy samo Towarzystwo Ogrodniczo-sadownicze (ogrodnik Piątkowski), pp. ogrodnicy lwowscy Antoni i Jan Klimowicze, p. T. Łucki, Kajzer z Zamarstynowa, konwent Franciszkanów, Seminarjum ruskie, Towarzystwo imienia Kaczkowskiego ze Stanisławowa, skarb Obroszyński księdza arcybiskupa Wierzchlejskiego, Straszewski Henryk, Janko z Hoszan, A. Eberman (izraelita) z powiatu Skałackiego, Mikulasz z Brodów, okazy ze sławnych ogrodów Dąbczańskiego i tylu innych, których tu niepodobna wymieniać. Lecz co najwięcej pociesza, iż kilka szkół ludowych, które od tylu lat Towarzystwo Ogrodnicze zasila, bezpłatnie szczepami i nasionami, pierwszy raz wzięło udział w wystawie i trzeba przyznać, bardzo dobrze się zaprezentowały, jak na przykład szkoła z Beska, z Brzozowa, z Siemiechowa, Skołszowa. Patrząc się na te rzeczy wyborowe pod względem gatunku, wielkości, smaku i kształtu, musimy przyznać widoczny postęp ogrodnictwa i sadownictwa od czasu ostatniej wystawy z roku 1878. Gdyby nie mróz, jaki nas tak niespodzianie w tym roku nawiedził, i nie zapowiedź drugiej wystawy ogrodniczej w Kołomyi, jesteśmy przekonani, że wystawa byłaby daleko pełniejszą i dałaby skończony obraz działalności na tem polu w Galicji.

Sędziowie wybrani w liczbie siedmiu z osób kompetentnych i znawców, w asystencji komisarza rządowego, tudzież dyrekcji Towarzystwa ogrodniczo-sadowniczego z p. Walerjanem Podlewskim na czele, przyznali wystawcom 20 medali srebrnych, 21 bronzowych, 6 dyplomów honorowych, 11 dukatów złotem, 13 listów pochwalnych i 160 złr. nagród pieniężnych, rozdzielonych między ogrodników za pracę i postęp w ogrodnictwie. — Być może, nagród tych trochę za wiele, jednak mamy nadzieję, że będą one zachętą na przyszłość dla wielu producentów ogrodniczych, bo już leży to w ludzkiej naturze, iż każden lubi, aby prace jego i zasługi były należycie ocenione i uznane. Bądź co bądź, Towarzystwu ogrodniczo-sadowniczemu należy się za urządzenie tej wystawy prawdziwa wdzięczność, a nie zgóry i z uprzedzenia płynąca krytyka, która miasto zachęty, paraliżuje tylko wszelkie usiłowania ludzi dobrej woli, podejmowane dla dobra publicznego. Jeżeli wystawa nie była taką, na jaką kraj nasz zdobyć się może, to oczywiście wina w tem nie komitetu, który wszystko zrobił co do niego należało, lecz tych, którzy na prośby i wezwanie jego nie odpowiedzieli.

Z innych spraw codziennego życia lwowskiego, nie wiele mamy do zanotowania, Sejm obraduje dalej, nad sprawami mniejszej wagi, bo główne sprawy tegorocznej kadencji przygotowują się w komisjach, Bank krajowy zdaje się, że zapewniony, odpowiedź na kwestjonarz rządowy co do reformy administracji krajowej, wchodzi na więcej dodatnią drogę, przynajmniej jest zamiar wypowiedzenia opinji, coby wypadało zrobić u nas w tej materji. Mówią coś na ucho, że kołaczą się po głowach niektórych posłów, dawni mandatarjusze, czy coś w rodzaju dozorców policyjnych w gminach. Jednak tym wieściom nie można dać wiary, szlachecki sejm, za jaki obecnie nasz uchodzi, z pewnością będzie więcej konsekwentny wobec nowoczesnych idei o wolności i postępie i nie zechce konserwatyzmu swego posuwać aż do cofania się wstecz.

Czytamy i słyszymy wciąż o urodzajach bajecznych w tym roku i o dobrej minie naszych rolników, tym czasem w mieście wszystko drożeje, mięso, mąka i inne przedmioty codziennych potrzeb... Dla biednej klasy mieszkańców, okoliczność ta jest prawdziwą zagadką, a objaśnić ją może tylko nieurodzaj w innych krajach i ułatwione komunikacje międzynarodowe. Przyznajemy, że jeżeli na to mają się budować koleje, żeby życie było jeszcze droższe w miastach niż dotąd, to kwitujemy ze wszystkich nowych projektów Sokal Jarosław, Lwów - Żółkiew i Sokal, o które kłócą się różne konsorcja, a echa ich sprzeczek odbijają się w łamach codziennych pism naszych. Lepiej mniej kolei, a niech będzie taniej...

Wypadałoby i nam coś wspomnieć o tak głośnym kongresie międzynarodowym literackim, jaki w zeszłym miesiącu niby to obradował w Wiedniu. Przyznajemy się otwarcie, iż dotąd czytujące różne opisy tego kongresu, prócz licznych bankietów, obiadów, toastów, wycieczek i kłótni

literackich, nic dodatniego i pożytecznego dla literatury wyczytać nie mogliśmy. Francuska blaga, narobiła dosyć hałasu, puku, stuku, krzyku, a rezultat tego wszystkiego taki, że chcieliby gwałtem przeprowadzić ustawy, abyśmy się im za wszelkie korzystanie z prac obcych, my biedacy opłacali. Apetyt nie zły, jednak nie na naszą kieszeń; więc najlepiej będzie jak powiemy sobie:

„Naj bude jak buwało...“

PAN MINISTER

przez

JULIUSZA CLARETIE.

CZĘŚĆ PIERWSZA

I.

Skończył się pierwszy akt „Afrykanki.“ Minister wyszedł z loży dyrektora Opery i z uśmiechem człowieka, co rad zrzuca z siebie brzemię obowiązków, przemówił:

— Chodźmy do foyer, Granet!

— Chodźmy do foyer, panie ministrze!

Trzeba było przebyć olbrzymią scenę, pełną maszynistów w ruchu, zwijających się jak majtkowie na okręcie, gotującycym się do odpływu; wśród nich przesuwali się, wchodzili i wychodzili czarno poubierani mężczyźni, w białych krawatach, bez wierzchniego okrycia, z kapeluszami na głowach, lekkim krokiem, pomimo prawdziwego lasu maszynerji, swobodnie mierząc długą przestrzeń, dzielącą ich od foyer baletu.

Mężczyźni ci przybywali zewsząd, z krzeseł i z lóż, a większa ich część, z pewnością, zdradzającą codziennych gości, z balladą Neluski na ustach, mijała przedpokój, łączący salę teatralną ze sceną. Młody urzędnik, również w białym krawacie, siedzący przy stoliku, zapisywał nazwiska wchodzących, na drukowanym blankiecie, przedzielonym na dwie kolumny, z których jedna miała nagłówek: *Panowie*, druga zaś, *Lekarz*; młodzieniec ten od czasu do czasu podnosił się, witając pełnym uszanowania ukłonem, znakomitsze figury urzędowe.

— Nie widziałeś, Ludwiku, pana Vaudrey? — zapytał go młody jeszcze człowiek, ze szkiełkiem w oku, a który widocznie czuł się tu tak swobodnym, jakby w własnym domu.

— Pan minister jest w loży pana dyrektora! — odpowiedział uprzejmie młodzieniec.

— Dziękuję ci, Ludwiku!

I podczas gdy mężczyzna ów wstępował na wązkie schodki, prowadzące na scenę, młodzieniec, wprawnym biurowym charakterem zapisał w swojej liście: *Pan Guy de Lissac*.

Na scenie tymczasem pan minister Vaudrey, o którego dopytywał się Lissac, wziąwszy pod ramię swojego towarzysza, Graneta, przyglądał się ze zdumieniem, nieznanej mu dotychczas olbrzymiej maszynerji, poruszanej przez istne mrowisko robotników. W obec tego widoku oblicze p. Vaudrey zdradzało tyle naiwnego podziwu, że przyjaciel jego i kolega z izby deputowanych, Granet, nie mógł powstrzymać lekkiego uśmiechu, zaledwie przysłoniętego czarnym wymuskanym wąsikiem.

— To mi się lepiej podoba niż sama sztuka, — rzekł minister.

Z góry i z boków padały szerokie strumienie żółtego światła, a cała niezmierna scena podobną była do rozległej piaszczystej przestrzeni. Vaudrey podniosłszy głowę, ujrzał w górze całe szeregi symetrycznie umieszczonych świeczników, płonących jakby sznur płomieni gazowych, ukrytych po za draperjami fryzów. W głębi sceny, główna dekoracja przedstawiała jasny krajobraz indyjski, olśniony palącemi promieniami słońca, a na całej przestrzeni pomiędzy kurtyną a dekoracją, zdawały się tańczyć czarne plamy, dziwaczne sylwetki, niby cienie chińskie, utworzone przez gości, których czarny strój wizytowy, wyraźnie się na jasnem tle odznaczał.

— Zabawnie to wygląda, — przemówił minister — ale zobaczymy foyer. Pan znasz foyer?

— Jestem Paryżaninem, — odpowiedział deputowany Granet, bez żadnego pozornie nacisku, ale ciągły delikatny uśmieszek jego, wyraźnie dawał do zrozumienia panu Sulpicjuszowi Vaudrey, że jego świeżą zupełnie ekscelencję, czuć jeszcze cokolwiek prowincją.

Sulpicjusz z pewnem wahaniem przechodził przez ogromną scenę, w gwarze i rozgardjaszu zmiany dekoracji, przypominającym zgiełk walki na pokładzie trzechmasztowca, a gwałtowna rozbiórka olbrzymiego okrętu z „Afrykanki“, to systematyczne rozszarpywanie go na atomy przez całą chmarę robotników w niebieskich bluzach, krzyczących, nawołujących się, pchających przed sobą lub unoszących na ramionach kawałki masztów, deski, schodki lub inne oddzielne części składowe, i znikających z niemi w podziemnych cieniach; ten widok, jednem słowem, mrowiska ludzkiego, z zaciekłością niszczącego arcydzieło sztuki dekoracyjnej, wszystko zaś w okoleniu ram olbrzymich, łączących w sobie powagę katedry z łoskotem huty żelaza, wprowadzało w zachwyt ministra, który też stanął w zdumieniu, dotykając się połami fraka spuszczonej obecnie zasłony.

Po obu stronach z loż na przedsceniu, lornetowało go i tu i owdzie szeptano, a szept ten, jak szmer wiośnianego wietrzyka, zaledwie odgadnąć się dający, dolatywał do jego uszu:

— To nowy minister spraw wewnętrznych!

— Aha! pan Vaudrey?

— Tak jest, — pan Vaudrey.

A pan Vaudrey prostował się pod strzałami wielkich oczu lorynetek, gdy jednocześnie, uśmiechający się Granet szeptał poufnie do stojącego tuż obok w kornej postawie, dyrektora chórów:

— Jak to zaraz poznać, że on tu jest po raz pierwszy!

Tak jest, nieinaczej, nowy minister po raz pierwszy znalazł się za kulisami opery! Wszedł on tu z ciekawością młodzieniaszka, z pragnieniami studenta Jak to się dobrze stało, że nie wziął dziś z sobą żony, która czuła się cokolwiek cierpiącą! Przelotny rzut oka, w obcem mu zupełnie świecie, miał dlań urok czegoś zakazanego; był niby pieprzykiem codziennego żywota.

Po za dekoracją tylną, muzykanci w kostiumach braminów, uzbrojeni w okulary, dla łatwiejszego i dokładniejszego *odegrania* wyznaczonej im roli, wodzą ospały wzrok po mosiężnych swych instrumentach, które piastują na rękach jakby niemowlęta w powijakach. Indjanie z zasmarowanemi twarzami, z żółtemi trykotami na nogach, znużeni i zniechęceni, przeciągają się i ziewają w oczekiwaniu chwili wyjścia na scenę. Żołnierze zasypiają z rozwartemi ustami na drewnianych ławach, a zsunięte aż na nos hełmy, chronią ich oczy od blasku światła; inni, podparci na swej broni, używają jej zamiast laski, hełmy zaś złożyli przy nogach, aby wygodniej zasypiać z głową bezpośrednio o mur opartą.

Tu maleńkie dziewczątka, w króciuchnych spódniczkach, podrygują nucąc sobie półgłosem. Tam starsze od nich, próbują trudniejszych *pas*, albo na wpół przechylone, a mocno wygorsowane, przewiązują wstążki przy różowych swych trzewiczkach. Inne znów, przystrojone w rodzaj hełmów ze złoconemi ozdobami, śmieją się, wtórując sobie na srebrnych cymbałkach. Statyści nieokrzesani, z przyprawnemi brodami, poprzebierani za kapłanów w żółte suknie z szerokiemi czerwonemi pasami, potrącają je, przechodząc bez ostrzegania i przepraszania żadnego. Wśród swawolnych tych grup, przechadza się, sam jeden tylko poważny, odźwierny, w czarnym stroju francuzkim, z łańcuchem na szyi.

Dalej jeszcze, to już foyer właściwe, wstępuje się weń przez obszerną niszę, strojną w aksamitne firanki, barwy szaro-fioletowej. Na stopniach schodów, wiodących do tego przybytku, mężczyźni w czarnym stroju rozmawiali z baletniczkami, a po za niemi Vaudrey ujrzał w wielkim salonie kąpiącym się w świetle, grupy nawpół ubranych kobiet, przy których mężczyźni, w blasku zwierciadlanej ściany przeciwległej, wyglądali jak chrząszcze na pełnym róż bukiecie. Zwolna, podchodząc bliżej; mógł już rozróżnić pod malowidłami w górze, przedstawiającemi starożytne tańce i portrety Camargo albo Noverry, ruchomą falę gazowych spódniczek, śnieżyste ramiona, i różowe łydki, zawsze z nieodłącznemi frakami, co tu i owdzie rozproszone wśród jasnych kolorów, odznaczały się niby czarne plamy atramentowe na balowej toalecie.

Zbyt wiele musiano mówić panu Vaudrey o tem foyer baletu; nagle bowiem doznał rozczarowania. Iskrzące światło, z całą niedelikatnością uwydatniało sztuczne rumieńce, a owe piękne dzieweczki w bufiastych spódniczkach, z gołemi ramionami, uśmiechające się i wywijające nóżkami w atłasowych bucikach na platformie okalającej salon, pokrytej popielatym aksamitem, zdawały się poruszać wśród dusznej i zapylonej atmosfery.

— I to już wszystko? — zapytał prawie mimowolnie minister.

— Cóż więcej być miało! Jesteś pan bardzo wymagający! — odparł Granet.

Gdy się ukazał minister, pomiędzy dziewczętami zrobił się ruch, zdradzający ciekawość i kokieterję zarazem. Widziano go w loży dyrektorskiej. Domyślano się napewne, że przyjdzie i do foyer. Każdy minister zaczyna od tego! Sulpicjusz był więc oczekiwany. Przyglądano mu się z zajęciem nietajonym wcale, młodzi zaś ludzie, albo udający młodych, przycupnęli na kanapkach pod zwierciadłami, a otoczeni — być może przypadkowo — przez śmiejące się tancerki, chowali się po za spódniczkami swoich sąsiadek i schylali głowy, pokazując tylko same łysiny, jak kobieta, co nie chcąc widzieć kogoś, zasłania połowę twarzy bukietem.

Minister spostrzegłszy ten manewr, uśmiechnął się ironicznie. W gronie ukrywających się poznał on swoich podwładnych, prefektów i pod-

prefektów z okolic Paryża, przybyłych z Wersalu, z Chartres i t. p., po kawalersku rządzących Francją z głębi foyer baletniczego. Eleganccy urzędnicy ministerstwa sztuk pięknych, również tutaj, podczas antraktów, kończyli studja estetyczne.

Wszystkie zresztą zasady i stronnictwa polityczne bratały się tutaj milcząco w ironicznej mięszaninie. Sulpicjusz Vaudrey zwrócił na to uwagę swego towarzysza:

— Armja czynna i inwalidzi — szepnął półgłosem.

— Posiadasz pan, panie ministrze, dar spostrzegawczy prawdziwego Paryżanina! — zauważył Granet.

— Bo też bywają i prowincjonalni Paryżanie — odparł Sulpicjusz, którego twarz zapłonęła niezwykłem, rozkosznem wzruszeniem.

— Ah! pan minister tutaj! — zawołał tuż obok mężczyzna otyły lecz rzeźki, uśmiechnięty, z włosem i faworytami jak śnieg białemi. — Pan!... tutaj! Jakimże przypadkiem?

Podszedł bliżej, kłaniając się bez uniżoności, ale ze swobodną poufałością, jak człowiek mający do tego prawo wskutek swej otyłości i majątku. Bogaty i otyły, pomimo lat sześćdziesięciu, nie wyglądający więcej jak na czterdzieści, bankier Molina, przepędzał popołudniowe godziny na giełdzie, wieczory zaś w foyer tancerek.

Dzięki siwym włosom, które dawały mu prawo do szacunku, i dzięki złotu, upoważniającemu go do nieszanowania niczego i nikogo, burmistrzował on cokolwiek na giełdzie, a daleko więcej pomiędzy koryfejkami baletu. Z niczego doszedłszy bardzo wysoko, pulchniutki Molina, nasycał się chciwie rozkoszami świata, jak człowiek, który nacierpiawszy nieraz głodu, dorwie się nareszcie do suto zastawionego stołu. Wszystkiego było mu potrzeba: słynnych obrazów i modnych kobiet, posągów marmurowych i żywych; bez gustu żadnego, zbierał wszystko co było drogie lub rzadkie; bez cienia uczucia, kupował kobiety używające rozgłosu. W razie potrzeby wyszukiwał je, tworzył niejako, aby popisywać się, obwożąc w swym powozie czy to w lasku Bulońskim, czy na wyścigach, jakąś nowicjuszkę na drodze zepsucia, a następnie aby patrzeć z boku na te tłumy cisnące się do niej jedynie dla tego, że była kochanką Moliny. Niegdyś, w Marsylji, sprzedawał Piemontczykom i marynarzom starą odzież w dzielnicy żydowskiej; dziś bawił go widok paniczów klubowych, rozkupujących niby łachmany tandetne, zużyte rupiecie jego miłostek.

— Pan, panie ministrze, w foyer baletu? — powtórzył bankier. — Ah! doprawdy, wartoby to powiedzieć pani Vaudrey!

Sulpicjusz uśmiechnął się, cokolwiek zdziwiony dyssonansem, jakim zabrzmiało w tem otoczeniu nazwisko jego żony. Zdawało mu się, że sama wzmianka o niej wprowadzała ją w obce jej zupełnie, niestosowne towarzystwo. Podobnego uczucia doznał przed kilku dniami, kiedy z powodu mianowania go ministrem, sprawozdawcy dziennikarscy opowiadali o jego małżeństwie, opisywali szczegółowo jego mieszkanie i kreślili piórem portret żony jego, którą kochał nad życie.

— Z tem wszystkiem — mówił Molina — pani Vaudrey musi się do tego przyzwyczaić. Opera przecież stanowi niejako cząstkę polityki. Ileż to razy najważniejsze kwestje znajdują swe rozwiązanie za kulisami!

I rozkoszny bankier zaśmiał się wesoło, śmiechem dźwięcznym jak dukaty Turcareta.

Po tym mimowolnym wybuchu wesołości, zaczął wyjaśniać ministrowi wszystkie maleńkie sekreta baletniczego foyer, czyniąc to ze świadomością stałego, odwiecznego tubylca, i przelotnie, jednem słówkiem, czasem jednym tylko ruchem ręki, kreślił pobieżną biografję obecnych dziewcząt, które rozmawiały, śmiały się lub przechadzały, zaledwie dotykając podłogi maleńkiemi nóżkami.

Sulpicjusz dziwił się wszystkiemu. Nie usiłował nawet taić swego podziwienia. Na każdym kroku zdradzał, że był to jego pierwszy występ.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PIŚMIENNICTWO.

Obrazki z życia północno-wschodniej Afryki, skreślił Jan Finkelhaus. Warszawa 1881.

W literaturze, jak w ogóle we wszystkiem, wszechwładna moda dopomina się praw swoich i przestrzega ich wykonania z największą ścisłością. Jest ona zupełnie niezależną od prądów. Te dają zwrot myślom, ideom, tendencjom wreszcie, moda ogarnia formę, i w co raz to nowej szacie ukazuje to, co prądy przynoszą. Były w modzie idylle, był romans fantastyczny, historyczny, lub obyczajowy; tak samo i na podróże było złote żniwo. Był czas w którym nic nie czytano prócz podróży, a Arago czy też Guliwer w każdym musiał być ręku. Dziś rozwielmożniła się powieść do tego stopnia, że wszystkie gałęzie wiedzy i myśli pod jej uciekają się skrzydła. Nie ma kwestji, którejby w powieściach nie poruszono, licząc na to, że zajmująca forma podając treść bardzo przystępnie, zaciekawi każdego z czytających. Filozofia, etyka, religja, kwestje polityczne i społeczne, ba, nawet nauki ścisłe, zdobyczami dawnemi i najnowszemi odkryciami zapożyczają formy powieściowej. Nic więc dziwnego, że przy takim prądzie ogólnym i podróże musiały zatracić swój dawny charakter. Suche opowiadania o ziemi, przyrodzie i narodach, o niebezpieczeństwach groźnych i awanturniczych wypadkach, wygłaszane zwykle z trójnoga kaznodziejskiego musiały ustąpić, a w ich miejscu powstały opowieści zajmujące, tak bogactwem treści i prawdy, jak urozmaiconą, powabną formą.

Do nie wielu jeszcze na tem polu pracowników w naszej literaturze należy Jan Finkelhaus, a »*Obrazki z życia północno-wschodniej Afryki,*« najchlubniej świadczą o nim. Dzieło o 310 stronicach obejmuje podróż po Algierji i Tunisie.

Co głównie dzieło zaleca, to owa, tak bardzo u Francuzów wychwalana, lekkość pióra, swoboda w opowiadaniu i nader żywe malowanie, czy to przyrody, czy też życia. Już sam wstęp nosi ten charakter. Autor przechodzi z przedmiotu na przedmiot bezustannie, sypiąc tysiącami wrażeń, uwag i spostrzeżeń, a nigdzie nie znać pośpiechu. Opis podróży z Paryża do Algieru błyszczy mnóstwem dowcipów, a humor, tak drogi, poszukiwany przez opisujących podróże, nie opuszcza autora ani na chwilę. Co chwilę przypatruje się czemu innemu, co raz to nowy przedmiot zajmuje całą jego uwagę, ażeby w następnej sekundzie ustąpić miejsca nowemu wrażeniu. Tu zaraz nasuwa się autorowi sposobność robienia uwag o charakterze ludzi, których spotyka, a częściej jeszcze uwagi te przenosi w zakres ogólniejszy, wnioskuje o całych warstwach społecznych i narodach. Jakże trafną naprzykład jest jedna z pierwszych uwag o Francuzach:

„Francuz czuje, zdaje się, potrzebę wyrzucenia ze siebie przez każdą godzinę pewnej ilości »*merci*« i »*pardon*« To też wydaje się kontent, jeżeli go kto popchnie, bo wnet popisze się ze swą wrodzoną grzecznością."

Wszędzie panuje jasność poglądów, swoboda w zapatrywaniach, które są często oryginalne. A już podpatrywanie życia, to prawdziwie godne pozazdroszczenia. Autor nie przepatrzy niczego, zważa nawet na najmniejszą drobnostkę, jeżli ona jest charakterystyczną, jeżli z niej przegląda życie, które radby pochwycić, odzwierciedlić.

Posłuchajmy n. p. jak autor opisuje życie Algieru pod wpływem Francji.

„Przestraszeni Kabyle, Arabowie, Maurytanie, Moabici chowają się teraz w burnusy, i uciekają na pustynię, lub też pokazują zęby Mahomentowi, piją wino i lornetują śpiewaczki w Café de la Perle. Tyle dla wielu z nich dała na razie europejska oświata. Cywilizacja ma więc także swoje desery, któremi karmi najedzonych. Szczęściem, że zamiast ginu, Francuzi przynieśli burgunda, zamiast egoizmu, lekką wesołość francuskiego Café-chantant. Śpiewy i burgund w roli cywilizacyjnych czynników! Dodajcie szkoły, koleje, ulepszenia rolnicze, wpływy kolonizacyjne i nowy rząd. Zawoalowane Maurytanki krzyczą z zapałem w teatrze *lulu,* a w domu zapewne marzą o pierwszeństwie naszych skoczków, cywilizacji i klownów...

Na tym jasnym widnokręgu są i ciemne chmury. Są i Kabyle umierający z głodu, i biura arabskie, których szefowie obdzierają ze skóry swoich pupilów, jest pod cywilizacyjną osłoną i sprzedaż dziewczyn, jest sirocco, są i straszne lwy..."

Zdania, jak widzimy często wytrawne, ale częściej jeszcze dowcipne. Przytoczymy jeszcze kilka myśli, lecz tu zaraz musimy zauważać, że autor, jak każdy z autorów, nie jest nieomylnym. Zdarza mu się także czasem popaść w błąd, a obok głębokości uczucia i myśli występuje wniosek mylny. Trudnożbo zgodzić się z nim na zdanie:

„Dziwna że im kraj cieplejszy, tem bardziej wolnomyślny. Zimna przygniatają ducha i oprócz ciemności atmosfery, konserwują ciemności myśli..."

Żeby to było dziwnem, że ciepły klimat wyrabia temperament żywszy, a co za tem idzie: większą wolnomyślność, tego nie powiemy; jak znowu zimna nie przygniatają tak bardzo ducha, ażeby aż stanowczo wnioskować o ciemności myśli. Zdarza się to, lecz musimy przyznać, że różnice klimatyczne, tak ścisłego związku nie mają z władzami umysłowemi. Weźmy którekolwiek dwa narody sąsiednie, zbadajmy różnicę klimatu, porównajmy z stanem umysłowym, a rezultat pewno nie poprze twierdzenia autora. Nie zawsze klimat zimny sprowadza za sobą ciemność myśli, a narody północy równo, jeśli

nie więcej, kochają wolność, jak ich bracia na południu.

Myśl ta zrodziła się wszakże na widok ludów, co prawdziwie kochając wolność i pragnąc jej, nieszczęsnemu ulegają fatum, i pod napływem żywiołów obcych giną. Moralnie, umysłowo za mali, nie mogą się oprzeć tym, których bronią: cywilizacja. Więc żal zbiera na widok zwyciężonych nie z własnej winy i z apoteozy dla ich wolnomyślności rodzi się zdanie w pierwszej części dobre, prawdziwe, w porównaniu chwiejne i pozorne tylko. Jak bo też autor wypowiada zdanie o zdobywcach i zwyciężonych! Przytaczamy je dla jego dosadności:

„Wszelkie sposoby kolonizacyjne polegają w gruncie rzeczy na zdjęciu skóry z tuziemców by przykryć nią europejczyków. To pewna bowiem, że wyruszający w imię cywilizacji zdobywcy wywieszają zwykle na miejscu najbrudniejszy egoizm. Takimi byli Anglicy, Hiszpanie. Oddajmy sprawiedliwość Francuzom, że starali się osłodzić możliwie los zwyciężonym. ."

(Dokończenie nastąpi.)

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Bobrzyński Michał.* Dzieje Polski w zarysie. Drugie znacznie zwiększone wydanie, tom II. 8-ka, str. 397. Warszawa 1881. Całość 2 tomy 5 zł.

— *Indeks* grzechów katastralnych, napisał właściciel gruntu. 8-ka, str. 31. Lwów 1881, 30 ct.

— *Kalinka W. X.* Sejm czteroletni, tom II. 8-ka str. 255. Lwów 1881, 3 zł.

— *Lenartowicz Teofil.* Chorągiew słowiańska do grobu św. Cyryla w Rzymie, 8-ka str. 31. Lwów 1881, 50 ct.

— *Maltitz B. A. Polska.* Poema, tłumaczenie z niem. oryginału w 1831 roku, wydanego przez H. Kunaszowskiego. Lwów 1881, 50 ct.

— *Mickiewicz Adam.* Korespondencje. 3 tomy, 8-ka, str. 311, 206 i LXXXIX 311. Paryż 1881, 5 zł. 40 ct.

— *Mickiewicz Adam.* Konrad Wallenrod. Powieść historyczna z dziejów litewskich i pruskich, 16-ka, str. 60, wyd. Bibl. Luksenburskiej. Paryż 1881, 20 ct.

— *Morawski Adam.* Anioł stróż. Podarek w dzień pierwszej Komunii i bierzmowania, oraz całe nabożeństwo dla młodzieży. 16-ka, str. 255. Warszawa 1881, 75 ct.

— *Nasze biedy* i potrzeby. 8-ka, str. 40. Lwów 1881, 30 ct.

— *Ostrowski Antoni.* Zasady gry fortepianowej. 8-ka, str. 45. Lwów 1881, 40 ct.

— *Płomieńczyk Seweryn.* Wojna. Obraz dramatyczny w pięciu aktach. 8 ka, str. 127. Kijów 1881, 1 zł. 50 ct.

— *Ustawa wekslowa*, powszechna, austrjacka, z dołączeniem odmian tekstu, w niemieckiej i węgierskiej U. W. zachodzących. 8-ka. str. 186. Kraków 1881, 80 ct.

— *Tomkiewicz Stanisław.* Pieśń z pieśni miłości, Kraków 1881. 8 ka, str. 31, 60 ct.

— *Żuliński Tadeusz Dr.* Kilka słów w sprawie higienicznej reformy szkół. 8 ka str. 34. Kraków 1881, 50 ct.

— *Żuliński Tadeusz Dr.* W obronie nauczania higieny w zakładach naukowych, z powodu sprawozdania komisji Towarzystwa pedagogicznego w sprawie szkół średnich. 8-ka, str. 23. Lwów 1881 40 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** W taniem wydawnictwie „Bibljoteki Mrówki" wyszedł znowu tomik, 128, zawierający J. Finkelhausa „Wspomnienia z podróży po Norwegji." Wyjątki z tej pracy drukowaliśmy kilka miesięcy temu w „Tygodniu", czytelnicy więc przypomną sobie żywość obrazowania i wysokie znaczenie społeczne tych wspomnień.

*** „Nasze biedy i potrzeby." Pod powyższym tytułem opuściła prasę broszura zajmująca się naszemi sprawami domowemi w Galicji. Jeszcze nie zdarzyło się nam czytać tak krótko i tak dokładnie przedstawionych najgłówniejszych naszych niedostatków z podaniem oraz zaradczych środków na takowe. Oby broszura ta była odczytaną przez naszych posłów i rady w niej podane wzięte do serca. Nie będziemy tu streszczać poglądów autora, gdyż każdy broszurkę łatwo odczytać może i powinien.

*** „Przez sen i na jawie, napisał Adam hr. Łoś. Kraków 1881. 16-ka str. 171 i 67." Książeczka bardzo zacną myślą kierowana, zawiera wiele rzeczy pożytecznych jak np: O patrjotyzmie, O polskiej idei, Męczennicy wolności, O francuzkiej edukacji i tp. Autor dobrze włada językiem i umie trafić do serca, snać z serca płynęły jego uwagi i poglądy. Chociaż więc nie zawsze w zapatrywaniach zgodzić się z nim możemy, jednak książeczkę chętnie polecamy, bo każdy odczyta ją z przyjemnością i nie bez pożytku. Szczególniej podoba się ona szlachcie.

*** Niestrudzony Kraszewski w liczbie innych dzieł przygotowujących się do druku, pracuje obecnie także nad „Historją kultury polskiej."

*** Hrabia Fredro napisał dwa nowe utwory sceniczne: „Głodem wzięty," obrazek dramatyczny wierszem i jednoaktowe przysłowie „Śmierć i żona od Boga przeznaczona," prozą.

Obiedwie te sztuki wkrótce wystawione będą na scenie krakowskiej.

*** Pan Antoni Ostrowski, znany artysta, b. profesor konserwatorjum muzycznego we Lwowie, wydał książeczkę p. t. „Zasady gry fortepianowej." Jest to króciuchny podręcznik, zawierający mnóstwo uwag o nauce gry na fortepianie, podanych jasno i treściwie. Każdy grający na tym instrumencie książeczkę tę przeczytać powinien, na czem gra jego z pewnością zyska nie mało.

*** Bezimienny autor, który niedawno wydał kilka broszur p. t. „Studien übar die Juden-frage, von einem Geächtelen," napisał obecnie nową niemiecką książeczkę zatytułowaną „E per Si muove! Eiu Beitrag zur Lösung der Judenfrage."

*** Dr. Wł. Chodecki wydał w Berlinie rozprawę pod tytułem: „Ueber die Hodgkinsche Krankheit," która zyskała pochlebną ocenę w czasopismach lekarskich niemieckich.

*** Na konferencji dyrektorów szkół publicznych kantonów Szwajcarji niemieckiej, postanowiono jednomyślnie porzucić całkowicie litery niemieckie, a zastąpić je łacińskiemi.

*** Leon Delibes, kompozytor opery „Król to powiedział," i uroczego baletu „Coppelia" napisał nową operę p. t. „Jacques Collot."

*** Skrzypce koncertowe zmarłego niedawno Henryka Wieniawskiego sprzedane zostały w tych dniach w Brukselli za sumę wynoszącą w naszej walucie 5,400 złr.

Zmarły artysta nabył je na kilka lat przed śmiercią za 1,200 franków i najczęściej na nich grywał. Skrzypce te są roboty Stradivariusa.

Społeczne i ekonomiczne.

*** Węgierski minist. spraw. przedstawi radzie państwa projekt ustawy, dotyczący zabezpieczenia własności literackiej i artystycznej. W projekcie ustawy termin zabezpieczenia oznaczony został na trzydzieści lat. Przeciw tłumaczeniom wtedy dzieła pisarskie będą zabezpieczone, jeżeli prawo przekładu będzie zastrzeżone. Według zasad ustawy, przekład koniecznie musi być rozpoczęty w ciągu roku, a ukończony w trzy lata.

*** Peszteński magistrat oświadczył się za wprowadzeniem palenia zwłok. W ogólności ma ono zależeć od woli, a obowiązkowem będzie tylko dla zwłok chowanych na koszt miasta. Uchwała ta wymaga jeszcze potwierdzenia ministra spraw wewnętrznych.

*** W Londynie założono hotel dla psów, stanowiących własność osób w podróży będących.

Gospodarz ogłasza, iż zwierzęta otrzymywać będą jedzenie trzy razy dziennie, kąpiel, mają zapewniony spacer i odpowiednią usługę.

Gdyby nasze hotele prowincjonalne dla ludzi chciały się na ten wzór doskonalić!

*** W Warszawie zwraca powszechną uwagę nowy rodzaj ekwipażu, nazwany „Jaskółką."

Jestto jednokonny wózek, złożony z dużej obręczy, ujętej w trzy rolety, oraz dwóch bocznych kółek, które utrzymują równowagę.

Pomysł do „Jaskółki" podał pan A. Grubiński, wynalazca żniwiarek „Warszawianki" i „Polki."

Wózek wykonano w fabryce maszyn rolniczych pp. Regulskiego i Ziembińskiego i jeżdżono nim w tych dniach tytułem próby.

„Jaskółka" odznacza się przedewszystkiem lekkością: ciągnął ją z całą łatwością mały kucyk w nader prostej uprzęży.

Próby dały zadawalniające rezultaty: „Jaskółka" mknie szybko, skręca łatwo i nadaje się szczególnie do dróg wązkich, wskutek czego może znaleźć szerokie zastosowanie w gospodarstwach rolnych.

*** Pani Bławacka, o której misjonarstwie na wschodzie wiele pisano, posiada szczególniejszy dar odgadywania całego szeregu wywodów, znajdujących się w książkach, których nie czytała.

Dar ów, zwany psychometrją, był już przedmiotem rozbioru w r. 1840 w dziele dra Buchmana.

Prof. Denton w Bostonie poświęca temu przedmiotowi cały traktat, zapewniając, iż człowiek w czasie magnetycznego natchnienia może odgadywać przedmiot zakrytej ryciny, a nawet cudze myśli.

Nie wdając się w wartość tej argumentacji, wypada nadmienić, iż pani Bławacka daje na wschodzie przedstawienia magnetyczne, w których produkuje się z tym darem.

Sprawozdawca angielski w „Contemporary Review" z politowaniem wspomina o tem, zaznaczając, iż p. Bławacka pochodzi z Litwy (?).

Treść: Zefirek, przez Elizę Orzeszkową. — Wspomnienia Kossutha (dok.) — Lord Byron, przez F. Lewickiego. — Kaskada, wiersz Czesława, — Kronika tygodniowa. — Pan minister, przez J. Claretie. — Piśmiennictwo przez Zorjana. — Bibljografja. — Wiadomości z kraju i ze świata.

W dodatku: Nędznicy, romans Wiktora Hugo, tom III-ci, arkusz 10.

Z Drukarni „Gazety Narodowej"

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.